

ARTHUR CONAN DOYLE

**TAJEMNICA DOLINY
BOSCOMBE**

THE BOSCOMBE VALLEY MYSTERY

Pewnego poranku siedziałem z żoną przy śniadaniu, gdy służąca przyniosła depeszę. Telegrafował Sherlock Holmes, co następuje:

„Czy masz dwa dni wolne? Właśnie wzywają mnie telegraficznie do zachodniej Anglii z powodu morderstwa w dolinie Boscombe. Cieszyłbym się bardzo, gdybyś udał się ze mną. Wyborne powietrze i wspaniała okolica. Odjazd z Paddington 11.15”.

— Czy myślisz jechać? — zapytała żona, patrząc na mnie.

— Nie wiem doprawdy, co zrobić? Lista moich chorych jest właśnie teraz dosyć długa.

— Ale mniejsza o to; Anstruther cię zastąpi. W ostatnich czasach wyglądasz trochę mizernie, więc przejażdżka posłuży ci; zresztą wiem, jak bardzo cię zajmują przygody Sherlocka Holmesa.

— Jakżeby mogło być inaczej; wszak jednej z nich zawdzięczam poznanie ciebie. Jeżeli jednak mam naprawdę jechać, to muszę się spieszyć, bo jest tylko pół godziny czasu.

Z mojego pobytu w Afganistanie wyciągnąłem przynajmniej tę korzyść, że w każdym czasie potrafiłem szybko przygotować się do podróży. W drodze miałem niewielkie potrzeby, wkrótce więc siedziałem z moją torbą podróżną w dorożce, zdążając na dworzec Paddington. Sherlock już się tam przechadzał, a jego wysoka, chuda postać w długim, szarym płaszczu podróżnym i w małej czapce sukiennej wydawała się jeszcze większą i chudsza niż zwykle.

— Bardzo to ładnie z twojej strony Watsonie, że przybywasz — rzekł. — Jest to dla mnie wielka korzyść mieć z sobą towarzysza, na którym można polegać. Pomoc miejscowa bywa zwykle stronicza lub bez wartości. Zajmij dwa miejsca w kącie, a ja tymczasem przyniosę bilety.

W wagonie pozostaliśmy sami z całym stosem gazet i papierów, które Holmes przyniósł z sobą.

Aż do stacji Reading przeglądał je, czytał, robił notatki i rozmyślał. Nagle zebrał wszystko razem i rzucił w górę do siatki na pakunki.

— Czy już słyszałeś o wypadku? — zapytał.

— Ani słowa; w ostatnich dniach nie czytałem żadnej gazety.

— Londyńska prasa podała nie bardzo dokładne sprawozdania. Właśnie przeglądałem najnowsze dzienniki, aby się dowiedzieć o szczegółach. Jest to, jak się zdaje, jeden z tych prostych wypadków, które są nadzwyczaj trudne do wyjaśnienia.

— To brzmi trochę sprzecznie.

— A przecież jest głęboką prawdą. Im mniej dziwne, im pospolitsze jest przestępstwo, tym trudniejsze do wykrycia. W tym wypadku np. są ciężkie poszlaki przeciw synowi zamordowanego.

— A więc chodzi o jakieś morderstwo?

— Tak przynajmniej twierdzą. Ja jednak nic nie przyjmuję, zanim nie zbadam rzeczy osobiście. Opowiem ci w krótkości faktyczny stan rzeczy, o ile sam zdołałem go poznać.

— Dolina Boscombe jest to okręg położony niedaleko Ross w Herefordshire. Największe posiadłości ma tam pan John Turner, który wzbogacił się w Australii i przed laty powrócił do ojczyzny. Jedno z jego dóbr, tak zwane Hatherley, dzierżawił pan Charles Mc Carthy, również dawny Australijczyk. Obaj poznali się w koloniach i łatwo zrozumieć, że potem osiedlili się możliwie najbliżej siebie. Turner był widocznie bogatszy, dlatego też Mc Carthy został jego dzierżawcą, co jednak — jak widać — nie przeszkadzało, że obaj pozostawali z sobą na równej stopie towarzyskiej. Mc Carthy miał osiemnastoletniego syna, Turner córkę w tym samym wieku; obaj byli wdowcami. Unikali wszelkich stosunków z angielskimi rodzinami w okolicy i żyli w odosobnieniu, chociaż ojciec i syn Mc Carthy lubili sport i często brali udział w wyścigach, odbywających się w sąsiedztwie. Mc Carthy trzymał dwoje służby, to jest służącego i kucharkę, podczas gdy Turner znacznie więcej, bo co najmniej pół tuzina. To wszystko, czego

mogłem się dowiedzieć o obu rodzinach. A teraz przystępuję do faktów związanych z samą zbrodnią.

Trzeciego czerwca — a więc w zeszły poniedziałek — wyszedł Mc Carthy z Hatherley około godziny trzeciej po południu i udał się do stawu Boscombe, to jest małego jeziora, powstałego przez nagłe rozszerzenie się rzeki w dolinie. Rano był ze służącym w Ross i oświadczył mu, że musi się spieszyć, bo o trzeciej ma umówioną ważną rozmowę; z tej to nie wrócił już żywy.

Dwór w Hatherley jest oddalony od stawu o ćwierć mili; na drodze do stawu widziały pana Mc Carthy dwie osoby: kobieta, której nazwiska nie podano, i William Crowder, łowczy w służbie pana Turnera. Obydwoje zeznali, że Mc Carthy szedł sam. Łowczy oświadczył nadto, że w kilka minut po przejściu Mc Carthy spotkał na tej samej drodze jego syna, Johna Mc Carthy ze strzelbą pod pachą; twierdzi na pewno, że ojciec musiał zostać spostrzeżony przez syna. Zresztą nie myślał więcej o tym, aż wieczorem dowiedział się o strasznym wypadku.

I później jeszcze widziano obu Mc Carthy'ch, gdy ich łowczy już z oczu stracił. Staw Boscombe jest naokoło otoczony gęstym lasem, tylko tuż nad brzegiem rośnie pas traw i trzciny. Córka dozorczy dóbr Boscombe, Patience Moran, zbierała właśnie w lesie kwiaty. Zeznaje ona, że widziała stamtąd pana Mc Carthy'ego i jego syna; widocznie gwałtownie się sprzeciali, bo słyszała, że ojciec mówił bardzo ostro do syna, syn zaś wznosił rękę, jakby chciał ojca uderzyć. Przerażona gwałtownością obu mężczyzn pobiegła do domu, opowiedziała matce, co widziała nad stawem, i wyraziła obawę, że między oboma dojdzie pewno do jeszcze gwałtowniejszych czynów. Zaledwo skończyła, gdy wpadł młody Mc Carthy, prosząc o pomoc i mówiąc, że znalazł ojca zabitego w lesie. Był bardzo wzruszony, nie miał kapelusza i broni, a na prawej ręce i rękawie były widoczne ślady krwi. Udano się z młodym człowiekiem, a na trawie, nad stawem znaleziono rozciągniętego trupa ojca. Na czasce były ślady kilkakrotnych uderzeń tępą bronią; mogły one pochodzić od strzelby syna, która leżała w odległości kilku kroków od trupa na trawie. Wskutek tych okoliczności uwięziono Mc Carthy'ego natychmiast; ponieważ wstępne śledztwo we wtorek uznało sprawę za „rozmyślnie zabójstwo”, został oddany we środę prokuraturze w Ross, a najbliższa sesja sądu przysięgłych będzie obradowała nad tą sprawą. Oto jest prosty przebieg zdarzenia, jak się ono przedstawia sędziemu śledczemu i policji.

— Nie mogę sobie wyobrazić wypadku — rzekłem — w którym wszystkie okoliczności dokładniej wskazywałyby winowajcę.

— Te wszystkie dowody w zeznaniach są często bardzo wątpliwe — odrzekł poważnie Holmes. — Często oświetlają one bardzo wyraźnie jakiś oznaczony punkt, gdy jednak trochę tylko zmienimy obrany punkt wyjścia, okazuje się, że mogą one udowodnić wcale niedwuznacznie coś wręcz przeciwnego. W tym wypadku występują takty bardzo poważnie przeciw synowi, i nawet możliwe, że on jest winowajcą. Jednak niektórzy sąsiedzi — a między nimi panna Turner, córka sąsiedniego właściciela dóbr — wierzą w jego niewinność; ona to uprosiła Lestrade'a, którego znasz już skądinąd, by podjął się bronić młodego Mc Carthy'ego. Lestrade, uważając sprawę za trochę zagadkową, oddał ją mnie i dlatego właśnie my dwaj, stateczni panowie, jedziemy pospiesznym pociągiem na zachód, zamiast spokojnie i wygodnie trawić w domu śniadanie.

— Obawiam się, czy ta historia przyniesie ci choć trochę sławy, bo fakty są tu nadto oczywiste!

— Nic łatwiej nie zwodzi, jak właśnie tak zwane oczywiste fakty — odpowiedział śmiejąc się Holmes. Ale będziemy może mieli szczęście i odkryjemy inne „oczywiste fakty”, które uszły uwagi pana Lestrade. Bez chępliwości, której — jak wiesz — nie posiadam, utrzymuję, że jego teorię stwierdzą lub obalą środkami, do jakich użycia byłby niezdolny i może ich nawet nie pojmuję. Weźmy pierwszy lepszy przykład: gdy spojrzę na ciebie, wiem zaraz, że okno w twojej

sypialni jest po stronie prawej, a jednak wątpię, czy pan Lestrade coś równie oczywistego mógłby spostrzec.

— W jakiż sposób?...

— Mój kochany przyjacielu, wszak znam cię dobrze i twoją wojskową dokładność. Golisz się codziennie, a w tej porze roku czynisz to przy świetle dziennym; ponieważ jednak golenie twoje przedstawia pewne braki im dalej na lewo, tak że nawet na zaokrągleniu szczęki jest niedbałe, to oczywiście lewa strona twarzy musi być oświetlona mniej jasno niż prawa. Nie mogę sobie wyobrazić, aby taki człowiek jak ty zadowolił się takim goleniem, chyba, że czyni to w nierównomiernym oświetleniu. Wymieniam tylko ten drobny przykład obserwacji i sposobu wyciągania wniosków. Na tym właśnie polega moje rzemiosło i być może, że przyda mi się ono w nadchodzącym śledztwie. Przy badaniu wstępnym wspomniano niektóre uboczne okoliczności, nad którymi warto się zastanowić.

— Któreż by to były?

— Jak się zdaje, został młody człowiek uwięziony dopiero po powrocie do domu w Hatherley. Gdy mu to oznajmiono, powiedział, że się wcale nie dziwi i że czego innego się nie spodziewał. Takie uwagi z jego ust musiały — rzecz naturalna — usunąć wszelkie wątpliwości sędziów.

— Było to wyznanie — zawołałem.

— Nie; albowiem potem nastąpiły zapewnienia niewinności.

— Wobec takiego szeregu okoliczności obciążających bardzo podejrzone są te zapewnienia.

— Przeciwnie, Watsonie; jest to właśnie najjaśniejszy punkt świetlny w całej sprawie, punkt przebijający ciemne chmury. Chociaż jest niewinny, musiałby być przecież bardzo głupi, aby nie widzieć, jak ciężko wszystko przeciw niemu świadczy. Gdyby przy uwięzieniu okazał zdziwienie lub udawał oburzenie, wydałoby mi się to mocno podejrzone, ponieważ takie uczucia byłyby wobec tego stanu rzeczy nienaturalne; zwykle jednak wydają się one każdemu przestępcy najmądrzejsze. Otwarte postępowanie syna oznacza albo jego niewinność, albo wielką moc i panowanie nad sobą. Oświadczenie, że nie spodziewał się czego innego, nie było nienaturalne, gdy rozważysz, że stał wobec trupa ojca z przeświadczeniem, że w owym dniu tak dalece zapomniał o swych synowskich obowiązkach, iż popadł w sprzeczkę z ojcem, a nawet — według ważnego zeznania młodej dziewczyny — podniósł na niego rękę. Wyrzuty i skrucha leżące na dnie jego uwagi oznaczają raczej czystą aniżeli winną duszę. Wstrząsnąłem głową.

— Niejednego już dla słabszych dowodów powiesili.

— Tak — toteż niejednego powieszono niewinnie.

— Cóż mówi sam oskarżony?

— Boję się, że właśnie to, co on mówi, jest dla jego obrońców nie bardzo zachęcające; mimo to kilka punktów warto rozważyć. Masz to tutaj; przeczytaj sam.

Holmes odnalazł w swej wiązce akt numer gazety z Herefordshire i przeglądnąwszy ją, wskazał mi rozdział, w którym podane były zeznania nieszczęśliwego młodzieńca. Usadawiłem się wygodnie w kącie i czytałem uważnie sprawozdanie śledztwa sądowego.

„Następnie wprowadzono pana Jamesa Mc Carthy’ego, jedyne go syna zmarłego; zeznaje on, co następuje: Byłem trzy dni nieobecny w domu i dopiero w poniedziałek o trzeciej wróciłem z Bristolu. Nie zastałem ojca w domu, a służąca powiedziała mi, że pojechał do Ross ze służącym Johnem Coblem. Wkrótce usłyszałem w podwórzu turkot powozu, a przystąpiwszy do okna, spostrzegłem ojca wysiadającego i szybko oddalającego się, nie wiem nawet, w którym kierunku. Wziąwszy strzelbę, udałem się nad staw, aby przeszukać jamy królicze. W drodze spotkałem Williama Crowdera, łowczego, który to zresztą już zeznał; myli się tylko, twierdząc, że szedłem za ojcem. Nie przeczuwałem nawet, że idzie on przede mną. Może byłem oddalony o sto kroków od stawu, gdy usłyszałem krzyk: Cooee, było to zwykle hasło między mną a ojcem.

Pospieszyłem za głosem i znalazłem ojca nad stawem. Moje zjawienie się zdziwiło go trochę; dość ostro zapytał mnie, czego chcę. Wywiązała się ostra wymiana słów, która doprowadziła do kłótni, prawie do gwałtownych czynów, ojciec mój był bowiem człowiekiem bardzo popędliwym. Gdy spostrzegłem, że gniew jego przechodzi już granicę, opuściłem go i chciałem wrócić do Hatherley. Zaledwie uszedłem ze 150 kroków, usłyszałem straszny krzyk; wróciłem i znalazłem na ziemi umierającego ojca z ciężką raną na głowie. Odrzuciłem strzelbę, wziąłem ojca w ramiona, umarł on jednak wkrótce. Chwilę klęczałem przy nim, a następnie pobiegłem do dozorczy dóbr Turnera, którego dom był w pobliżu, prosząc o pomoc. Gdy wróciłem, nie spostrzegłem koło ojca nikogo. W ogóle nie mani pojęcia, w jaki sposób został zamordowany. Nie był on wprawdzie lubiany, gdyż w zachowaniu się jego było coś zimnego i odpychającego, nie miał jednak żadnych prawdziwych wrogów. Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Sędzia śledczy: Czy panu ojciec powiedział coś przed śmiercią?

Świadek: Szeptał jakieś słowa, ale nie mogłem nic zrozumieć, prócz czegoś, podobnego do wyrazu »a rat« [szczur].

Sędzia śledczy: O co chodziło w sporze pana z ojcem?

Świadek: Proszę mnie uwolnić od odpowiedzi na to pytanie.

Sędzia śledczy: Żałuję, ale muszę domagać się tego usilnie.

Świadek: Ja jednak stanowczo nie mogę powiedzieć. Zapewniam tylko pana, że rozmowa nie miała najmniejszego związku z tym, co się stało.

Sędzia śledczy: To rozstrzygnie trybunał. Zwracam tylko uwagę, że usuwanie się od odpowiedzi pogorszy jeszcze pana położenie.

Świadek: Mimo tego muszę odmówić odpowiedzi.

Sędzia śledczy: Jeśli dobrze pana zrozumiałem, to okrzyk »Cooee« był zwykłym hasłem między panem a ojcem.

Świadek: Tak.

Sędzia śledczy: Jakże więc mógł ojciec wołać, skoro pana nie widział, a nawet nie wiedział, czy pan wrócił z Bristolu?

Świadek z widocznym zakłopotaniem: Tego nie wiem.

Asesor: Czy w tej chwili, gdy pan na krzyk ojca wrócił i znalazł go ciężko rannego, nie spostrzegł pan nic, co by mogło wzbudzić jakieś podejrzenie?

Świadek: Nic wyraźnego.

Sędzia śledczy: Co pan chce przez to powiedzieć?

Świadek: Gdy wybiegłem z lasu na pole, byłem tak przerażony i wzruszony, że o niczym innym nie myślałem, tylko o ojcu. Jednak przypominam sobie niejasno, że biegnąc naprzód, widziałem na lewo jakiś przedmiot leżący na ziemi. Było to coś szarego, jakby surdut lub pled. Gdy wracałem od ojca i spojrzałem tam znowu, przedmiotu tego już nie było.

Sędzia śledczy: Sądzi pan, że przedmiot zniknął, zanim pan przyprowadził ojcu pomoc?

Świadek: Tak, zniknął.

Sędzia śledczy: Czy nie mógłby pan powiedzieć, co to było?

Świadek: Nie, miałem tylko wrażenie, że tam coś leży.

Sędzia śledczy: jak to daleko było od zwłok?

Świadek: Może dwadzieścia kroków.

Sędzia śledczy: A jak daleko od skraju lasu?

Świadek: Może także tyle.

Sędzia śledczy: A zatem przedmiot został usunięty, chociaż pan był od niego tylko o dwadzieścia kroków oddalony.

Świadek: Tak, w czasie, gdy się od niego odwróciłem”.

Na tym zamknięto przesłuchanie.

— Jak widzę — rzekłem, przeglądając szybko sprawozdanie — ostateczne wnioski sędziego śledczego brzmią poważnie dla młodego Ml Cailhy'ego. Wykazał on trafnie sprzeczność zeznania, że ojciec wołał na syna, nie wiedząc o jego obecności; słusznie też podniósł uchylanie się uwięzionego od odpowiedzi, o czym rozmawiał z ojcem, dalej dziwne słowa umierającego. Wszystko to przemawia bardzo przeciw synowi.

Holmes uśmiechnął się do siebie i wyciągnął na poduszce.

— Ty i sędzia śledczy — rzekł — zadaliście sobie właśnie za mało trudu, aby podkreślić najważniejsze okoliczności przemawiające na korzyść młodzieńca. Czy nie uważasz, że mu obaj przypisujecie z jednej strony za wiele, z drugiej za mało daru zmyślenia? Za mało, bo przecie mógłby wynaleźć taki powód do sprzeczki, który by zapewniał mu współczucie trybunału; za wiele, bo sądzicie, że zmyśla coś tak dziwnego, jak wzmianka o szczurze ze strony umierającego ojca lub zajście z owym kawałkiem odzieży, który znikł. Nie, Watsonie, ja rozważając te okoliczności, wychodzę z tego stanowiska, że młodzieniec mówi prawdę; zobaczymy, gdzie mnie zaprowadzi to założenie. Tymczasem wyjmę sobie z kieszeni Plutarcha. Nie mów ani słowa o tej sprawie, dopóki nie staniemy na miejscu. Zjemy śniadanie w Swindon, gdzie będziemy — jak widzę — za dwadzieścia minut.

Przed godziną czwartą przybyliśmy do miłego miasteczka Ross, przejechawszy przez piękną dolinę Stroud i przez szeroką lśniącą rzekę Severn. Na dworcu czekał już na nas chudy mężczyzna o chytrych, przebiegłych oczach. Mimo ciemnoszarego prochowca i skórzanych kamaszy, które nosił ze względu na wiejską okolicę, poznałem natychmiast Lestrade'a, znanego detektywa londyńskiego. Pojechaliśmy z nim do „Hereford Arms”, gdzie był już dla nas zamówiony pokój.

— Na dole stoi powóz — rzekł, gdyśmy jeszcze pili herbatę; — znam pańską energię i wiem, że nie odpocznie pan wpierw, zanim nie zobaczy widowni zbrodni.

— Bardzo to chwalebne ze strony pana i uprzejme. Nasza podróż zależy jednak zupełnie od barometru.

Lestrade zdziwił się.

— Nie pojmuję — rzekł.

— Co pokazuje barometr?

— Na dwadzieścia dziewięć — to dobrze. Ani wiatru, ani chmury na niebie. Tu mam pudełko papierosów, które sobie wypalimy, a ta sofa wydaje mi się lepsza niż niewygodne w hotelach. Dziś więc prawdopodobnie nie będę potrzebował powozu.

Lestrade uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Bez wątpienia utworzył sobie pan już na podstawie gazet pogląd na stan rzeczy. Sprawa jest jasna jak słońce i im dłużej nią się zajmować, tym jaśniejsza się staje. Jednak nie mogłem darnie — i do tego takiej, która stanowczo występuje — sprzeciwić się, chociaż zapewniłem ją, że i pan, panie Holmes, nie może nic więcej zrobić nad to, co już zrobiłem. Zaprawdę! Wszak to jej powóz staje przed drzwiami!

Zaledwie to wyrzekł, gdy do pokoju wpadła panienska, jedna z najsympatyczniejszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Jej fioletowe oczy błyszczały, usta były w pół otwarte, lica płonęły; bezgraniczna troska i wzruszenie usunęły z jej myśli wszelką nieśmiałość wobec obcych.

— Ach, panie Holmes — zawołała, przenosząc wzrok swój ze mnie na Sherlocka, aż wreszcie idąc za nieomylnym przecuciem kobiecym zatrzymała spojrzenie na twarzy mojego przyjaciela — panie Holmes, jakaż jestem szczęśliwa, że pan przybył. Przyjechałam tu zaraz, aby to panu powiedzieć. Ja wiem na pewno, że James jest niewinny i pan powinien o tym się dowiedzieć, zanim pan jeszcze zabierze się do pracy. Niech pan ani na chwilę w to nie wątpi. Byliśmy razem

od dziecka i znam jego wady jak nikt inny; on ma zbyt dobre serce, aby nawet muszce sprawić przykrość. Kto go zna, musi uważać podobne oskarżenie za największą głupotę.

— Mam nadzieję, że nam się uda go obronić — rzekł Holmes. — Proszę spuścić się na mnie, a zrobię, co tylko będzie w mej mocy.

— Czytał pan oskarżenie? Jakie wyciągnął pan z tego wnioski?

Widzi pan jakieś wyjście lub ocalenie? Czy nawet pan nie uważa go za niewinnego?

— Mnie się wydaje jego niewinność bardzo prawdopodobna.

— Widzi pan! — zawołało dziewczę, spoglądając tryumfująco na Lestrade'a. — Słyszysz pan! Pan Holmes robi nadzieję!

Lestrade wzruszył ramionami.

— Obawiam się — rzekł — że mój kolega spieszy się cokolwiek ze swymi wnioskami.

— Ależ on ma słuszność — wiem, że ją ma. Przenigdy James tego nie zrobił. A co do sporu z ojcem, to jestem przekonana, że tylko dlatego nie chciał nic zeznać, bo chodziło o mnie.

— Dlaczego? — zapytał Holmes.

— Teraz byłoby nieuczciwością cokolwiek ukrywać. Otóż James miał częste sprzeczki z ojcem z mojego powodu. Mianowicie Mc Carthy życzył sobie gorąco, aby James ożenił się ze mną. Kochaliśmy się oboje bardzo jak rodzeństwo, ale on jeszcze młody, mało widział świata, i dlatego nie chciał się wiązać. O to powstawał często między ojcem i synem spór, z pewnością więc i tym razem tak się rzecz miała.

— Czy ojciec pani był przychylny temu związkowi? — zapytał Holmes.

— Nie. Był mu nawet bardzo przeciwny. Tylko pan Mc Carthy był za tym. Świeża, młoda twarzyczka spłonęła, gdy Holmes utkwiał w niej swoje przenikliwe, pytające oczy.

— Dziękuję pani za te wyjaśnienia — rzekł. — Czy będę mógł jutro rozmówić się z ojcem pani?

— Obawiam się, czy lekarz na to pozwoli.

— Lekarz?

— Mój biedny ojciec jest od kilku lat bardzo chory, a ten straszny wypadek całkiem go powalił. Leży w łóżku, a dr Willows twierdzi, że cierpi na silne rozdrażnienie nerwów. Śmierć pana Mc Carthy'ego dotknęła ojca bardzo, gdyż był on jedynym znajomym jego z czasów Pobytu w Wiktorii.

— Tak — w Wiktorii! To jest rzecz ważna?

— Tak, był on tam w kopalniach.

— Ach prawda — w kopalniach złota, gdzie pan Turner — jak słyszałem — zdobył swój majątek.

— Tak jest.

— Dziękuję pani za wiadomości tak pożyteczne dla całej sprawy. Nieprawdaż, panie Holmes, że jutro będę mogła usłyszeć coś nowego? Zapewne odwiedzi pan Jamesa w więzieniu; proszę mu powiedzieć, że jestem przekonana o jego niewinności.

— Zrobię to.

— A teraz muszę spieszyć do domu, bo ojciec jest ciężko chory i zmartwi się, gdy mnie przy sobie nie znajdzie. Żegnam. Bóg niech panu dopomaga!

Odeszła tak szybko, jak się zjawiała, i wkrótce usłyszeliśmy z ulicy turkot odjeżdżającego powozu.

— Powinienem się wstydzić za pana, panie Holmes — rzekł z godnością Lestrade po krótkim milczeniu. — Po co wzbudzać nadzieję, skoro musi nastąpić rozczarowanie. Nie jestem zbyt miękkiego serca, ale takie postępowanie nazywam okrutnym.

— Kiedy ja mam pewną nadzieję, że uzyskam uniewinnienie Jamesa Mc Carthy'ego. Czy ma pan pozwolenie na odwiedzenie go w więzieniu?

— Mam, ale tylko dla nas obu.

— Postanowiłem bowiem nie odjeżdżać, dopóki wszystkiego dokładnie nie zbadam. Czy jest jeszcze czas do pociągu do Hereford, abym mógł zobaczyć się z oskarżonym?

— Jest dosyć czasu.

— A więc chodźmy. Niechże ci się tu nie nudzi, Watsonie; za kilka godzin wrócę.

Towarzyszyłem obu na dworzec, a pochodziwszy trochę po ulicach małego miasta, wróciłem do hotelu; położyłem się wygodnie i próbowałem czytać jakiś romans. Był on jednak tak płytki i niezajmujący w porównaniu z posepną tajemnicą, która nas otaczała, że moja myśl wracała ciągle od książki do rzeczywistości. Odłożyłem więc romans i pogrążyłem się w rozmyślaniach nad wypadkami dnia dzisiejszego. Przyjąwszy, że nieszczęśliwy młodzieniec mówi prawdę, cóż za niespodziewane, nieszczęsne zdarzenie, co za szatańskie okoliczności zaszły w tak krótkim czasie, to jest, gdy syn oddalił się od ojca, do chwili, w której wrócił, usłyszawszy krzyk trwogi. Musiało to być coś okropnego. Ale co? Może mnie jako lekarzowi mógłby coś zdradzić rodzaj zadanych ran. Zadzwoiłem i zażądałem gazety z dosłownym sprawozdaniem z przesłuchania. Według oświadczenia chirurga śmierć nastąpiła w wyniku zmiżdżenia uderzeniem tępego narzędzia jednej trzeciej części lewej kości ciemieniowej i lewej połowy tylnej części czaszki. Wyszukałem to miejsce na własnej głowie. Uderzenie takie zadano oczywiście od tyłu. Poniekąd była to dla obwinionego okoliczność łagodząca, ponieważ — jak widziano — stał podczas sprzeczki naprzeciwko ojca. Fakt ten dałby się jednak zbić, gdyż zanim uderzenie padło, ojciec mógł się odwrócić. W każdym razie nie zaszkodzi zwrócić na to uwagę Holmesa. Dalej, cóż może znaczyć wzmianka umierającego o jakimś szurze? Nie było to przecież delirium, bo nie nawiedza ono człowieka ginącego nagłą śmiercią. Najprawdopodobniej słowo to odnosi się do wypadku, który go spotkał. Ale do czego? Daremnie łamałem sobie nad tym głowę. A do tego szary przedmiot, który miał widzieć młody Mc Carthy. Jeżeli nie było to złudzenie, morderca zgubił w ucieczce jakąś część ubrania, prawdopodobnie zarzutkę, i posiadał na tyle zuchwałości, aby wrócić po nią w chwili, kiedy syn zaledwie o dwadzieścia kroków kłęczał przy zabitym, odwrócony do zabójcy plecami. Co za tajemniczą sieć nieprawdopodobieństw przedstawia cała historia! Nie dziwiło mnie zapatrywanie Lestrade'a, jednak silnie wierzyłem mojemu przyjacielowi i nie porzucałem nadziei innego wyświetlenia; wszak każda nowa okoliczność poboczna zdawała się tylko wzmacniać przekonanie Holmesa o niewinności młodzieńca.

Późno już wrócił Sherlock; przyszedł sam, bo Lestrade zamieszkał w mieście.

— Barometr stoi jeszcze bardzo wysoko — zauważył, siadając. — Jest to rzecz nadzwyczaj ważna, gdyż muszę zwiedzić miejsce wypadku, zanim będzie padał deszcz; z drugiej znowu strony konieczne byłoby jakieś orzeźwienie i wzmocnienie przed żmudną pracą, która mnie czeka. Nie mógłbym jej zaczynać, tak jestem zmęczony długą jazdą. Na razie widziałem młodego Mc Carthy'ego.

— I czegoś się od niego dowiedziałeś?

— Niczego.

— Czy nie był w stanie nic wyjaśnić?

— Nie. Z początku przypuszczałem, że zna mordercę i chce oszczędzić jego lub kogoś; teraz jednak jestem przekonany, że wie on o tym wszystkim tyle, co każdy inny człowiek. Nie wydaje mi się zbyt roztropny, robi jednak wrażenie człowieka przyjemnego i o dobrym sercu.

— Ale jego gust nie imponuje mi wcale — rzuciłem — jeśli rzeczywiście wzbrania się zaślubić tak urocze stworzenie, jakim jest panna Turner.

— Pozostaje to w związku z pewną przykrą historią. Chłopak jest w niej zakochany po uszy, ale przed dwoma laty, zanim jeszcze dobrze poznał pannę Turner, która przez pięć lat była na pensji, wpadł w sidła jakiejś kelnerki z Bristolu i zaślubił ją; był wtedy jeszcze prawie dzieckiem, bo wyszedł zaledwie ze szkół. Nikt o tym nie wie, możesz więc sobie wyobrazić straszne położenie młodzieńca. Wyplłynęło to z czystej rozpaczy, że wznosił ręce do nieba, gdy ojciec podczas ostatniego spotkania napierał, aby starał się o pannę Turner. Ojciec jego — jak powszechnie mówią — człowiek bardzo surowy i twardy, byłby go po prostu wygnał, gdyby znał prawdę. Młodzieniec spędził ostatnie trzy dni u swej żony w Bristolu, a ojciec nie wiedział, gdzie przebywał; rozważ tę okoliczność dobrze, bo to rzecz ważna. Sam wypadek wpłynął jednak pod pewnym względem nieźle na przyszłość młodego Mc Carthy’ego; ledwo bowiem owa kelnerka dowiedziała się z dzienników, w jak strasznym położeniu znajduje się jej małżonek i że prawdopodobnie będzie powieszony, wyznała mu, że ma prawowitego męża w Bermuda-Dockyards, a zatem małżeństwo ich jest nieważne. Myślę, że ta przyjemna wiadomość wynagrodziła młodemu człowiekowi wszystko, co wycierpiał.

— A więc jeżeli on jest niewinny, któż popełnił zbrodnię?

— Tak, kto? Muszę zwrócić twoją uwagę na dwie okoliczności. Pierwsze, że zamordowany miał z kimś schadzkę nad stawem, a nie mógł to być syn, bo był nieobecny i ojciec nie wiedział, kiedy wróci. Drugie, że wydał on okrzyk: „Cooee”, zanim jeszcze dowiedział się o powrocie syna. Około tych dwóch punktów obraca się cały wypadek. Ale teraz, proszę cię, rozmawiajmy o innych rzeczach, a resztę zostawmy na jutro.

Jak to przepowiedział Holmes, nie było deszczu, ale zabłysnął ranek czysty i bezchmurny. Lestrade przybył o dziewiątej w powozie, którym pojechaliśmy do dzierżawy Hatherley i nad staw Boscombe.

— Dziś rano odebrałem wiadomość — rzekł Lestrade — że pan Turner jest tak chory, iż należy wątpić, czy się z tej choroby podniesie.

— Czy to jest starszy człowiek?

— Może sześćdziesięcioletni. Pobyt za morzem tak wstrząsnął jego organizmem, że od dawna już choruje. Ten nieszczęśliwy wypadek wpłynął na niego jeszcze gorzej; był on bowiem starym przyjacielem Mc Carthy’ego i, jak się zdaje, jego dobrodziejem, gdyż o ile słyszałem, oddał mu Hatherley w dzierżawę bezpłatnie.

— Doprawdy? To bardzo ciekawe! — rzekł Holmes.

— Tak, pomagał on nieraz w rozmaity sposób panu Mc Carthy’emu. Cała okolica nie może się nachwalić, czego dla niego nie czynił!

— Doprawdy? A czy panu nie wydaje się dziwne, że ten Mc Carthy, który przecież był niezamożnym i tak wiele zawdzięczał Turnerowi, mówił w taki stanowczy i pewny sposób o związku syna z córką Turnera, przyszlą dziedziczką dóbr, jakby to była rzecz najprostsza w świecie. Jest to tym bardziej zastanawiające, że Turner był otwarcie przeciwny temu małżeństwu, co nam zresztą córka wyraźnie oświadczyła. Czy z tego nie można by wyciągnąć jakich wniosków?

— A więc stanęlibyśmy szczęśliwie znowu na wnioskach i domysłach — rzekł Lestrade, mrugając na mnie. — Uważam, panie Holmes, za rzecz bardzo trudną ustalić nagie fakty, a cóż dopiero uganiać się wyszukanymi teoriami.

— Ma pan słusność — rzekł drwiąco Holmes — bardzo ciężko panu pojąć te fakty.

— A przecież jeden wydaje mi się zupełnie jasny, na który i pan będzie musiał się zgodzić — rzekł Lestrade nieco podrażniony.

— Któryż to?

— Że McCarthy ojciec został zamordowany przez McCarthy'ego syna i że wszelkie inne przypuszczenia są mdłe jak światło księżycy.

— Na szczęście światło księżycy jest jaśniejsze niż mgła — odpowiedział wiedział Holmes z uśmiechem — ale jeśli się nie mylę, to tutaj na lewo jest dwór Hatherley.

Tak, istotnie. Przed nami wznosił się dom duży, ładnie urządzony, dwupiętrowy i pokryty łupkiem. Pospuszczone żaluzje i bezdymne kominy nadawały mu wygląd martwoty, jak gdyby zaciążył nad nim zbrodniczy czyn. Zapukaliśmy do drzwi i na żądanie Holmesa niosła nam dziewczka buty, które jej pan miał na nogach w dzień śmierci, jako też parę butów syna, nie te jednak, które miał wówczas. Holmes wymierzył je w ośmiu kierunkach, a następnie kazał się prowadzić na podwórze, skąd poszliśmy ścieżką nad staw Boscombe.

Gdy Sherlock Holmes znajdował się na jakimś świeżym tropie, jak to teraz właśnie było, zmieniał się do niepoznania. Kto go znał jako spokojnego myśliciela i logika z Baker Street, uważałby go teraz a człowieka zupełnie innego. Twarz miał zaczerwienioną i jakby ciemniejszą. Brwi ściągnęły się w dwie silne, czarne linie, spod których świeciły oczy stalowym blaskiem. Wzrok skierował ku ziemi, ramiona wyciągnął naprzód, zacisnął wargi, a na jego długiej szyi wystąpiły żyły jak naciągnięte struny. Nozdrza zdawały się drgać dzikim pragnieniem łupu. Tak bardzo zajęty był swymi myślami, że nie słyszał nawet pytań i uwag skierowanych ku niemu, a jeśli przypadkiem coś dosłyszał, odpowiadał tylko niecierpliwym, szybkim mrużeniem. Prędko i w milczeniu szedł ścieżką przez łąkę nad staw. Jak wszędzie w okolicy, tak i tutaj grunt był bagnisty, czarny, a nie tylko na ścieżce, lecz i na wąskim pasie traw nadbrzeżnych widać było wiele śladów stóp ludzkich. Holmes już to biegł naprzód, już to stawał bez ruchu lub biegł na łąkę. Ja i Lestrade postępowaliśmy za nim; detektyw obojętnie i pełen godności, ja zaś śledząc z natężoną uwagą ruchy przyjaciela, bo wiedziałem, że nie są one bez celu.

Staw Boscombe o powierzchni małej, bo wynoszącej zaledwie pięćdziesiąt metrów, obramowany sitowiem, leży między dzierzawą Hatherley a parkiem pana Turnera.

Z tamtej strony rzeki ponad lasami widać było czerwone wieże, należące do posiadłości bogatego właściciela. Nad stawem od strony Hatherley rósł gęsty las; tylko wąziutki pasek zielonej trawy rozciągał się między drzewem a nadbrzeżną trzcina. Lestrade wskazał nam dokładnie miejsce, gdzie znaleziono zwłoki. Ziemia była tu tak wilgotna, że można było widzieć ślady, jakie wycisnęło leżące ciało. Holmes — jak wskazywał skupiony wyraz jego twarzy i badawczy wzrok — wywnioskował ze stratowanej trawy jeszcze wiele innych rzeczy. Jak pies gończy wietrzy zwierzynę, tak on kręcił się naokoło, w końcu zwrócił się do mojego towarzysza.

— Po co pan wchodził do wody? — zapytał.

— Sądziłem, że znajdę w wodzie broń lub ślad czegoś podobnego. Ale skąd pan wie...?

— Ach, zostawmy to! Teraz nie mam czasu tłumaczyć! Lewa pańska noga widoczna jest wszędzie; mógłby kret nawet iść za nią. A tu w trzcinie nikną ślady! Ach! O ile jaśniejsze byłoby dzisiaj niejedno, gdybym mógł tu być, zanim jeszcze wszystko zostało potratowane jak przez stado bawołów. Stąd przybyło towarzystwo z dozorcą i zatłoczyło wszystkie ślady innych stóp koło trupa. Ale tutaj są trzy osobne odciski jednej i tej samej nogi.

To mówiąc, wyciągnął Holmes szkło powiększające, położył się na swoim nieprzemakalnym płaszczu, aby móc lepiej widzieć i rzekł więcej do siebie niż do nas:

— To są ślady młodego McCarthy'ego. Dwa razy szedł spokojnie, raz biegł szybko, bo podeszwy są odcisnięte silnie, obcasy zaś lekko. W tym leży cała jego historia. Biegł, gdy zobaczył ojca leżącego na ziemi. Dalej są ślady nóg ojca, gdy oddalał się; ale cóż to znowu? Koniec kolby karabinowej w miejscu, gdzie stał syn i nadśluchiwał. A to? — Ha! ha! Cóż znowu tu mamy? Końce innych stóp! Końce innych stóp! A są to niezwykle szerokie buty! Przychodzą, odchodzą, znowu przychodzą — naturalnie po płaszcz. Skąd jednak przyszły?

Holmes biegał tu i tam, to znajdował ślad, to go tracił, aż dotarliśmy w ten sposób na skraj lasu, gdzie stał ogromny buk, największe drzewo w okolicy. Holmes stanął w cieniu buka, położył się twarzą na ziemi i wnet wydał cichy okrzyk zadowolenia. Długo leżał w tej pozycji, przeszukując gałęzie i suche liście, wziął — jak mi się zdawało — do koperty nieco prochu i badał przez szkło powiększające nie tylko ziemię, lecz i korę drzewa tak wysoko, jak mógł dosięgnąć. Wśród mchu leżał ostry kamień, który Holmes dokładnie oglądał i zabrał z sobą. Następnie poszedł ścieżką przez las ku gościńcowi, gdzie niknął już wszelki ślad.

— To był bardzo dziwny wypadek — rzekł, przybierając znowu swój zwykły wygląd. — Myślę, że ten szary dom jest mieszkaniem dozorca. Muszę tam pójść i zamienić z Moranem parę słów, jako też napisać kilka wierszy. Potem wrócimy na śniadanie. Idźcie z łaski swojej do powozu, ja tam zaraz przybędę.

W dziesięć minut niespełna jechaliśmy już do Ross; Holmes trzymał ciągle kamień znaleziony w lesie.

— Może to pana zainteresuje — rzekł, zwracając się do Lestrade'a — gdy powiem, że popełniono mord tym kamieniem.

— Nie widzę na nim żadnych znaków.

— Bo ich wcale nie ma.

— Skądże więc pan o tym wie?

— Pod kamieniem rosła trawa, a zatem leżał tam zaledwie od paru dni. Nie można odnaleźć miejsca, skąd został wzięty. Nadaje się również dokładnie do zadanych ran, które nie wykazują użycia żadnej innej broni.

— A morderca?

— Jest wysokim mężczyzną, mańkutom, utyka na prawą nogę, nosi mocno podbite myśliwskie buty i szary płaszcz, pali indyjskie cygara, używa cygarniczki i ma w kieszeni tępy scyzoryk. Istnieją jeszcze inne ślady, ale i te wystarczą, aby trafić na pewny trop.

Lestrade zaśmiał się.

Należę, niestety, zawsze do niewiernych — rzekł. — Teorie są dobre i ładne, ale wie pan, że mamy do czynienia z surowym angielskim sądem przysięgłych.

— *Nous verrons** — odrzekł spokojnie Holmes. — Pan postępuje według swojej, ja według mojej metody.

— Dziś po południu będę miał jeszcze trochę pracy, a wieczornym pociągami wrócę do Londynu.

— A sprawę zostawi pan w zawieszeniu?

— Nie — skończę ją.

— A tajemnica?

— Rozwiązana.

— Któż więc jest mordercą?

— Człowiek przeze mnie opisany.

— Któż to jest?

— Odnalezienie go nie będzie zapewne trudne. Tutejsza okolica nie jest zbyt zaludniona.

Lestrade wzruszył ramionami.

Jestem człowiekiem praktycznym — rzekł — i nie mogę latać po kraju, aby szukać kulawego człowieka, i przy tym mańkuta. Zostałbym w ten sposób pośmiewiskiem całej policji.

— Już dobrze — rzekł Holmes spokojnie. — Nie moja będzie wina, gdy się pan skompromituje. Oto pańskie mieszkanie. Bywaj pan zdrow. Przed odjazdem napiszę jeszcze do pana.

* *Nous verrons* (franc.) — zobaczymy.

Gdy Lestrade wysiadł, pojechaliśmy do naszego hotelu, gdzie stało już gotowe śniadanie. Holmes milczał i siedział pogrążony w przykrych rozmyślaniach, jak ktoś znajdujący się w położeniu bez wyjścia.

— Chodź, Watsonie — rzekł, gdy posprzątano ze stołu — siądź sobie wygodnie w tym fotelu i pozwól mi się chwilę wygadać. Nie wiem doprawdy, jak zrobić. Poradź mi. Zapal cygaro i słuchaj!

— Proszę, mów.

— Przy bliższym rozpatrywaniu sprawy młodego Mc Carthy'ego uderzyły natychmiast tak mnie, jak ciebie dwie okoliczności; ja wytłumaczyłem je na korzyść obwinionego, ty przeciwnie. Pierwsza to ta, że ojciec zawołał „Cooee”, zanim jeszcze ujrzał syna, druga to dziwne słowo *a rat* w ustach umierającego. Szeptał on jeszcze coś więcej, ale syn tyle tylko zrozumiał. Na tych dwóch punktach muszą opierać się nasze badania, a rozpoczniemy je od przypuszczenia, że młodzieniec mówił prawdę.

— Jak więc tłumaczysz to „Cooee”?

— Prawdopodobnie nie odnosiło się ono do syna. Według mniemania ojca był on w Bristolu, a tylko czysty przypadek sprawił, że znajdował się właśnie w pobliżu. Słowo „Cooee” miało zwrócić uwagę tego, z kim Mc Carthy miał schadzke. „Cooee” jest okrzykiem australijskim, używanym bardzo często wśród Australijczyków. Z tego wnoszę, że osobą, z którą Mc Carthy miał się spotkać nad stawem, musiał być ktoś, kto przebywał niegdyś w Australii.

— Cóż jednak chciał wyrazić słowem *a rat*?

Wówczas Holmes wyjął z kieszeni złożony arkusz i rozłożył go na stole.

— Tu jest mapa kolonii Wiktorii — rzekł — zamówiłem ją wczoraj telegraficznie w Bristolu. To mówiąc, zakrył ręką część mapy i zapytał:

— Co tu jest napisane? Przeczytałem: „arat”.

— A tu? — I podniósł rękę.

— Ballarat.

— Dobrze. To było widocznie owe słowo, które wyszeptał umierający, a którego tylko ostatnią zgłoskę syn usłyszał. Ojciec wymawiał nazwisko mordercy: taki i taki z Ballarat.

— Wyśmienicie! — zawołałem.

— Rzeczywiście! Widzisz, jak koło tajemnic zacieśnia się coraz bardziej! Trzecim punktem do zbadania jest to, że morderca posiada wierzchnią część odzieży barwy szarej. Jeżeli, zgadzając się z zeznaniem syna, przyjmiemy to za pewnik, dojdziemy nawet z niejasnego do bardzo określonego pojęcia, że winowajcą jest Australijczyk z Ballarat, noszący szary płaszcz.

— W istocie.

— Dalej, musi to być człowiek, który mieszka w okolicy, gdyż do stawu można się dostać tylko przez park albo przez dzierżawę Hatherley, co dla obcego byłoby dość trudne.

— Bardzo słusznie.

— Teraz kolej na naszą dzisiejszą wyprawę. Poszukiwania na miejscu dostarczyły mi szczegółów o osobie zbrodniarza, które ja wyjawilem temu głupcowi Lestrade'owi.

— Ale jakże doszedłeś do tego wszystkiego?

— Wszak znasz moją metodę, polegającą na obserwacji drobnostek.

— Wiem, że z długości kroków wnosisz o wysokości ciała i że ślady stóp zdradzają rodzaj obuwia. Tak, były to zresztą szczególne buty!

— Ale chromanie?

— Odcisk prawej nogi występował zawsze słabiej niż lewej, a zatem morderca mniej nią naciskał. Dlaczego? Bo chromał, był kulawy.

— Czemu jednak miał być mańkutem?

— Wszak ciebie samego dziwił rodzaj obrażeń stwierdzony przez lekarza przy badaniu. Uderzenie nastąpiło od tyłu, a jednak trafiło w lewą stronę czaszki. Jakby się to mogło stać, gdyby morderca nie rzucał lewą ręką? Podczas rozmowy ojca z synem stał on za drzewem, a nawet tam palił, bo znalazłem popiół cygara; dzięki swojej znajomości popiołu tytoniowego mogłem dokładnie określić, że pochodził z cygara indyjskiego. Jak wiesz, zajmowałem się tą sprawą i napisałem nawet małą rozprawę o 140 rodzajach tytoniu fajkowego, cygarowego i papierosowego. Gdy wykryłem popiół, szukałem dalej i znalazłem porzucony we mchu koniec cygara rzeczywiście indyjskiego, pochodzącego z Rotterdamu.

— A cygarniczka?

— Widziałem, że cygaro nie było w ustach, a zatem musiał użyć cygarniczki. Koniec był ucięty nierówno, z czego wniosek o tępy scyzoryku.

— Omotałeś tak winowajcę, że ci już nie ujdzie, a młodzieńca tak pewnie uratowałeś od śmierci, jak gdybyś przeciął powróż, na którym już wisiał. Widzę, dotąd to wszystko zmierza. Mordercą jest...

— Pan John Turner — zameldował kelner donośnym głosem, otwierając równocześnie drzwi, aby wpuścić gościa.

Wchodzący robił dziwne, uderzające wrażenie. Jego powolny, kulejący chód, jak też pochylone barki wskazywały na człowieka bardzo słabego; za to ostre, surowe rysy i zwalista budowa świadczyły o niezwyklej sile ducha i ciała. Siwa broda, siwe włosy, krzaczaste, wystające brwi nadawały mu wyrazu godności i powagi; twarz jednak miała popielate zabarwienie, a koło nozdrzy i warg leżał już prawie błękitny blask śmierci. Na pierwszy rzut oka poznałem, że człowiek ten cierpi na chroniczną śmiertelną chorobę.

— Proszę usiąść na sofie — prosił uprzejmie Holmes. — Czy pan otrzymał mój bilet?

— Tak. Przyniósł mi go dozorca. Pan życzył sobie ze mną tutaj rozmawiać, aby usunąć wszelkie domysły?

— Obawiałem się plotek ludzkich, gdybym sam przyszedł do pana.

— A w jakim celu pragnął pan widzieć się ze mną? — zapytał Turner, patrząc na Holmesa swymi zmęczonymi oczami z taką rozpaczą, jak gdyby znał już odpowiedź na to pytanie.

— Tak — odrzekł Holmes, odpowiadając więcej na spojrzenie niż na słowa Turnera — tak, wiem wszystko o panu Mc Carthym.

Starzec ukrył twarz w dłoniach.

— Bóg mi świadkiem — zawołał — że nie pozwoliłbym, aby młodzieniec cierpiał niewinnie. Daję panu słowo, że byłbym wyznał wszystko na wiadomość, że sąd uznał go winnym.

— Cieszę się, że słyszę to od pana — rzekł poważnie Holmes.

— Uczyniłbym to już teraz, gdyby nie chodziło o moje ukochane dziecko. Pękłoby jej serce — i pęknie, gdy się dowie o moim uwięzieniu.

— Może do tego nie dojdzie — rzekł Holmes.

— Co!

— Nie jestem urzędnikiem sądowym. O ile wiem, pańska córka właśnie tu mnie sprowadziła, a zatem jej interesów muszę bronić. Młody Mc Carthy naturalnie zostanie uniewinniony.

— Jestem już człowiekiem skazanym na śmierć — mówił starzec. — Od wielu lat cierpię na cukrzycę i mój lekarz wątpi, czy będę żył jeszcze ze cztery tygodnie. Tylko pragnąłbym umrzeć pod własnym dachem — nie w więzieniu.

Holmes tymczasem wstał i usiadł przy stole; wziął do ręki pióro i położył przed sobą kilka arkuszy papieru.

— Opowiedz nam pan szczerą prawdę — prosił. — Spiszę fakty, pan się podpisze, a Watson będzie świadkiem. Pańskie zeznania przedłożę celem uratowania młodego Mc Carthy'ego, ale daję panu słowo, że uczynię to dopiero w ostatecznej potrzebie.

— Zgadzą się na to. Jest to rzecz bardzo niepewna — rzekł starzec — czy dożyję dnia posiedzenia sądu przysięgłych, a więc jest mi już wszystko jedno; chodzi mi tylko o to, aby uchronić od hańby moją Alicję, wyznam zatem wszystko.

— Panowie nie znali zmarłego — tego Mc Carthy'ego. Było to uosobienie szatana, proszę mi wierzyć. Niech pana Bóg strzeże od szponów takiego człowieka! Przez dwadzieścia lat trzymał mnie w swoich żelaznych pazurach, zatruwając goryczą moje życie. Teraz dopiero może pan się dowie, w jaki sposób przyszło do tej zbrodni.

Na początku lat sześćdziesiątych udałem się z poszukiwaczami złota do Australii. Byłem chłopakiem młodym, gorącej krwi, odważnym aż do szaleństwa i gotowym na wszystko. Niezadługo wpadłem w złe towarzystwo, począłem pić, a ponieważ nie miałem szczęścia w poszukiwaniu złota, uciekłem w lasy i, krótko mówiąc, zostałem zbójnikiem przydrożnym. Było nas sześciu, żyliśmy wolno i dziko, napadając na wozy i namioty ludzi zdążających do kopalń. Znano mnie pod imieniem Black Jack of Ballarat, a nasz związek ballaracki pamięta jeszcze do dziś całą kolonia.

Pewnego razu napadliśmy na konwój, który z Ballarat szedł ze złotem do Melbourne. Przewodników było sześciu, nas także tyłu, a zatem sprawa była niepewna. Przy pierwszym natarciu zrzuciliśmy z siodeł czterech ludzi; z naszych padło trzech, zanim odebraliśmy skarby. Przewodnikowi konwoju, właśnie temu Mc Carthy'emu, trzymałem już pistolet przy głowie. Ach, czemuż Bóg nie dał, żebym go był wtedy zabił! Oszczędziłem go jednak, chociaż patrzył na mnie swymi małymi, złośliwymi oczami w taki sposób, jak gdyby chciał sobie na zawsze wyryć w pamięci moje rysy. Udało nam się uciec z pieniędzmi; byliśmy teraz bogaci i wróciliśmy do Anglii bez ściągnięcia na siebie jakiegokolwiek podejrzenia. W Anglii zerwałem z moimi dotychczasowymi towarzyszami i postanowiłem prowadzić spokojne, uczciwe życie. Kupiłem tę posiadłość właśnie wtedy wystawioną na sprzedaż i starałem się jak najlepiej użyć marnie zdobyty majątek. Ożeniłem się, ale żona umarła niezadługo, zostawiając mi moją ukochaną Alicję. Już jako małe dziecię potrafiła ona prowadzić mnie drogą uczciwości, jak nikt inny tego by nie zdołał. Słowem, zacząłem nowe życie i czyniłem, co mogłem, aby naprawić przeszłe występki. Już sądziłem, że mi się udało zatrzeć przeszłość, gdy wpadłem w szpony tego Mc Carthy'ego.

Raz pojechałem do miasta, aby tam umieścić swój kapitał, i wtedy właśnie na Regent Street spotkałem go w nędznej, podartej odzieży.

— Jesteś tu Jacku — rzekł, chwytając mnie za ramię — możesz nas nadal uważać za swoich krewnych. Jest nas dwóch, ja i syn, a ty od dziś dnia będziesz starał się o nasze utrzymanie. Jeżeli tego nie zrobisz, to w Anglii jest zawsze pod ręką prawo, sąd i policja.

Przybyli obaj tutaj i nigdy już od nich się nie uwolniłem. Żyli na mojej najlepszej ziemi za darmo. Od tej chwili odbiegł ode mnie wszelki spokój i zapomnienie; gdzie się obróciłem, szła za mną wszędzie jego chytra twarz. Im starsza była Alicja, tym gorzej się działo, gdyż wiedział on dobrze, że pragnąłem ukryć swą przeszłość bardziej jeszcze przed nią niż przed sądem. Żądał ode mnie wszystkiego, czego potrzebował, i mógł żądać, czego zapragnął, bo dawałem mu chętnie ziemię, pieniądze, budynki. Na koniec zażądał tego, czego mu dać nie mogłem — mojej Alicji.

Jego syn i moja córka dorośli. Mc Carthy wiedział, że zdrowie moje było podkopane, zapragnął więc, aby po mojej śmierci jego syn zabrał cały majątek. Co do tego byłem jednak nieugięty. Mc Carthy groził. Byłem zdecydowany na najzaciętszy opór. Dla omówienia tej

sprawy wyznaczyliśmy sobie schadzkę nad stawem, leżącym w jednakowej odległości od mieszkania nas obu.

Gdy tam przybyłem, zastałem go już rozmawiającego z synem; zapaliłem cygaro i stanąłem za drzewem, czekając aż pozostanie sam. Gdy usłyszałem, o czym rozmawiają, zawrzała we mnie krew; ojciec domagał się natarczywie, aby syn posłubił moją córkę, nie pytając wcale, czy ona sobie tego życzy, tak jak gdyby była jaką prostą dziewczką. Myśl, że wszystko, co mi jest najdroższe i najmilsze, ma przejść w ręce takiego człowieka, przyprawiała mnie o szaleństwo. Pomyślałem, czy nie mógłbym zerwać tych pęt? Byłem człowiekiem zrozpaczonym, bliskim śmierci. Mimo zdrowego umysłu i dość jeszcze silnego ciała, wiedziałem jaki los mnie niezadługo spotka. Ach, ale pamięć moja! Moja córka! Wszystko byłoby zapewnione, gdyby mi się udało zmusić ten straszny język do milczenia. I wtedy to uczyniłem, panie Holmes. Uczyniłbym to raz jeszcze. Wina moja była wielka, ale odpokutowałem za nią całym męczeńskim życiem; żeby jednak dziecko moje miało popaść w te same kajdany, w których ja jęczałem, to było więcej, niż mógłbym znieść. Zabiłem go, ale wcale tego nie żałuję, bo był jakby potwornym, wściekłym zwierzęciem. Na krzyk ojca wrócił młody Mc Carthy; ja już dobiegałem do lasu, gdy musiałem wrócić po płaszcz, który upuściłem, uciekając. Tak, a nie inaczej odbyło się wszystko.

— Cóż pan zamierza czynić?

— Ze względu na pańskie zdrowie — nic. Sam pan wie, że wkrótce odpowie pan przed wyższym sędzią. Biorę pańskie zeznanie do siebie; jeżeli Mc Carthy zostanie skazany, będę zmuszony z nim wystąpić, w przeciwnym razie nie zobaczy dokumentu ludzkie oko i czy pan będzie żywy, czy umarły, pozostanie wszystko tajemnicą.

— A zatem bądźcie panowie zdrowi — rzekł uroczyście starzec. — I wam kiedyś będzie milej spoczywać na łożu śmierci, gdy przypomnicie sobie, że pozwoliliście mi w spokoju odejść z tej ziemi.

Drżący i złamany olbrzym wyszedł z pokoju.

— Boże wesprzyj nas! — rzekł Holmes po długim milczeniu. — Czemu los igra tak podstępnie z biednymi, bezsilnymi robakami ziemskimi?

Na podstawie licznych innych zarzutów, które Holmes podniósł i podsunął obrońcy, młody Mc Carthy został uniewinniony. Stary Turner żył jeszcze po naszej rozmowie siedem miesięcy. Dziś spoczywa już w grobie, syn zaś i córka wrogich sobie ojców tworzą według wszelkiego prawdopodobieństwa szczęśliwą parę i ani nie przeczuwają, jak ciemna chmura ciąży nad ich przeszłością.